

Wspomnienia

Profesor Eugeniusz Gryś

Dziękujemy, Panie Profesorze.

Ponad dwadzieścia lat temu stworzył Pan zespół Kliniki Ginekologii Instytutu Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej w Poznaniu. Przygarnął Pan grupę „zielonej” młodzieży, która właśnie skończyła studia, i kilku zbuntowanych wyrzutków, których z racji nonkonformizmu lub braku rodzinnych korzeni nie chciano w innych klinikach. Nauczył nas Pan ginekologii. Nauczył nas Pan medycyny. Dzięki Panu nie umiemy być byle jacy.

Pracę w klinice pod Pana kierunkiem wspominam jako najpiękniejszy okres mojego zawodowego życia. Nie było łatwo. Dzień zaczynał się o godz. 7.00 na sali operacyjnej. Wielorazowe sterylizowane czapki i maski, tykające zegary odmierzające czas mycia rąk i zdzierania naskórka szorstkimi szczotkami, mydła w kostkach. Drewniane chodaki. Płukanie talkowanych rękawiczek w sterylnej soli fizjologicznej, bo w literaturze opisano talkowe zapalenie otrzewnej. Stół operacyjny prawie pod szyją, żeby się nie garbić. Szleszcząca gazeta w spodniach (ogrzewanie okolic lędźwiowych) – znak, że „strzeliły” Panu korzonki.

Operował Pan pięknie. Delikatnie, odważnie, anatomicznie, czysto. Cienkie szwy, bo przecież wszystko musi się wchłonać, zawiązane oczywiście płasko.

Przed operacją pacjentka doskonale zdiagnozowana, można powiedzieć – od stóp do głów, łącznie z zębami (ogniska zapalne). Pana *caries dentium profunda* dopisywane na ginekologicznych kartach gorączkowych pozwalają nam teraz, po tylu latach, umieć wyleczyć nieprawidłowe krwawienia z macicy, nie poddające się leczeniu przez innych ginekologów. Pana pytania „Przychodzi pacjentka i co?” „Trzeba wykluczyć ciążę i raka” pojawiają się w głowie zawsze w odpowiednim momencie. Uczył nas Pan, jak diagnozować, jak leczyć, jak operować, kiedy nie operować. Uczył nas Pan nawet wtedy, kiedy nas Pan nie lubił, bo każdy z nas bywał raz na wozie, raz pod wozem. Wtedy starał się Pan znajdować nasze błędy i uchybienia, a my tym bardziej staraliśmy się Panu udowodnić, że nas Pan na niczym nie złapie.

Robił Pan młodzieży niespodzianki w stylu: „dzisiaj operuje pani, a ja pani asystuję”. Cudowna nauka. I zostawał Pan z nami przy stole operacyjnym do ostatniego szwu.

Stworzyliśmy zespół ludzi zjednoczonych przeciwko wspólnemu „wrogowi”. Jak niepokorne dzieciaki przeciwko ojcu. Jeden bronił drugiego, jeden drugiemu pomagał, uczył, wyłapywał i uzupełniał jego przeoczenia. Gdy ktoś nie mógł przyjechać na operację na 7.00, znienacka pojawiała się zastępstwo. Dzieliliśmy się pracą, której było bardzo dużo. Trafiały do nas biedne, trudne, bardzo chore pacjentki z zaniedbanych rejonów, których nikt już nie chciał leczyć. Ostatnią deską ratunku był Pan prof. Eugeniusz Gryś.



Lubiliśmy z sobą przebywać. Wspólne kawy, drożdżówki z barku, po które zawsze ktoś skoczył, omawianie przypadków klinicznych i zwyczajne „Polaków rozmowy”. Niemalże nie chciało nam się wychodzić do domu.

Na 62. urodziny Profesora kupiliśmy tort i odpowiednią liczbę świeczek. Zapaliliśmy wszystkie świece i tort zaczął się topić. Profesor pytał wtedy studentów. Wpadliśmy do jego gabinetu bez zapowiedzi, krzycząc „Sto lat” i żeby szybko zdmuchiwał świece. „Proszę wyjść. Jest egzamin”. „Wyjdziemy, ale niech Pan najpierw zdmuchnie świece”. Zdmuchnął. Studenci zdali.

Umiał Pan, Panie Profesorze, dostrzec nasze mocne i słabe strony, umiał Pan uszanować nasz indywidualizm. Stworzył nam Pan warunki rozwoju zarówno zawodowego, jak i takiego zwyczajnie „człowieczego”. Mimo że czasem w cztery oczy zdarzało nam się mocno od Pana oberwać, na zewnątrz zawsze stawał Pan po naszej stronie.

Kilka tygodni przed śmiercią przekazał nam Pan swoje pacjentki. Podarował nam Pan swoje najcenniejsze książki.

Nie wiem, na czym polegał Pana fenomen, ale chciałabym być takim szefem jak Pan. Dziękuję, Panie Profesorze.

Pan Profesor Eugeniusz Gryś zmarł 10 listopada 2010 r. Pozostanie zawsze w naszej pamięci.

DR MED. ANNA PACZKOWSKA,
BYŁY ADIUNKT
KLINIKI GINEKOLOGII AM W POZNANIU